

**TADEUSZ
KONWICKI**



**KRONIKA
WYPADKOW
MIŁOSNYCH**

Tadeusz Konwicki

KRONIKA WYPADKÓW MIŁOSNYCH

Wydawnictwo Estymator
Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67562-98-0

Copyright © for the text by Maria Konwicka (2022)

Copyright © for this edition by Estymator Jacek Chołoniewski (2022)

www.estymator.net.pl

Publikacja elektroniczna na podstawie edycji wydawnictwa Agora, Warszawa (2010),
do której tekst, na podstawie rękopisu i wcześniejszych wydań, opracował
Przemysław Kaniecki

Wydanie I: Czytelnik, Warszawa (1974)

Projekt okładki: Olga Bóldok

Tak to się właśnie zaczęło. Pociąg w monotonnym kołysaniu zapadał się coraz głębiej w piaszczyste rowy, w kłębowiska jałowców, w czerwone tunele skarłających sosenek. Dziki wiosenny wiatr cuchnący ozonem wdzierał się do wagonu, hulając po pustym korytarzu.

Wąsaty konduktor srebrzystym dziadkiem do orzechów dziurawił bilet Wicia. Na jego piersiach wisiała mosiężna latarka. Z oszronionego karbidem palnika wyciekał niebieski płomyczek, ledwie widoczny o tej porze, jeszcze za dnia.

– Pan, widzę, student.

– Nie, jeszcze nie – rzekł Wicio.

– Ale piękna czapka – konduktor pokazał srebrzystymi szczypcami granatową maciejówkę wiszącą na haku. – Pięknie wyszywana, dlatego pomyślałem, że pan student.

– To taki zwyczaj. Wszyscy przed maturą wyszywają denka mundurowych czapek.

– Nawet widzę, że coś napisane czerwoną nicią.

– Per aspera ad astra. To dewiza naszej szkoły.

– Per aspera ad astra. Jakbym gdzieś słyszał. A tu w sąsiednim wagonie, w jedyńce, jedzie prawdziwy arcybiskup. Widział kawaler? No to niech pan korzysta z okazji. Proszę bardzo. W korytarzu można postać, choć to jedyńka.

Konduktor szedł przodem, chwytając się ścian. Sprawdzał nieufnie, czy Wicio idzie za nim. W czarnej od sadzy, brezentowej harmonii łączącej wagony skoczył z dołu na nich raptowny łoskot kół. Otwarta paszcza przeznaczenia. Bo wtedy jeszcze szyny kolejowe bywały progiem wieczności.

Konduktor stanął czujnie przy kryształowym oknie drzwi. Sękatą dłonią zatrzymał Wicia.

– Widzi kawaler, jaki piękny – szepnął.

Arcybiskup siedział nieruchomo na czerwonej pluszowej kanapie. Siwą jego głowę przykrywała fioletowa piuska. Między szepczącymi coś wargami błyskał wielki, syty, złoty ząb. Dziwnie jasne ręce, jakby przeświecone na zawsze blaskiem świec, trzymały ciężki brewiarz. Siedział nieruchomo na tle roziskrzonych szyby i patrzył przed siebie w przeciwną ścianę ze starego mahoni, i coś tam chyba widział, bo oczy jego były uważne i widzące.

– Niech kawaler patrzy, ile chce – zaszeptał konduktor, a potem ucichł.

Wszystkie przedziały pierwszej klasy, jak zawsze, były puste. Tylko w tym jednym siedział prawdziwy arcybiskup, albo przynajmniej biskup, i emanowała od niego jakaś przejmująca niezwykłość, coś zupełnie niezziemskiego. Jest odległa dał, mógł pomyśleć Wicio, jest dalekie nieznane życie.

Arcybiskup wolno, bardzo wolno odwrócił głowę, patrzył teraz w stronę korytarza. Ale nie dostrzegał pewnie Wicia. Strzępiasty refleks światła łopotał chwilę na jego policzku ulepionym chyba gdzieś w lepszym świecie, pokrytym skórą szlachetniejszą niż u zwykłych ludzi.

Wtedy coś zadudniło ciężko obok Wicia. To niewielki jegomość w chłopskiej bekieszy uklęknął z rozmachem na czerwonym dywanie korytarza. Chwilę zęgnął się łapczywie, potem uniósł swoją twarz, na której były zastygłe wszystkie występki, a może po prostu wieloletnia nędza.

– Pobłogosławi? – spytał, zająknąwszy się parę razy.

– On nas nie widzi.

– Widzi, tylko modli się i jest u Pana Boga w gościach – wziął z ziemi porzucony tłumok w lnianej chuście, żeby pokazać go Wiciowi. – Jadę, paniczu, do siostry w mieście. Strasznie jest jechać, oddalać się, nie, paniczu?

Wicio milczał, patrząc ciągle w nieruchome oczy arcybiskupa.

– Pan nie chce do mnie mówić?

– Chcę.

– Trzeba mówić. Ludzie potrzebują i ja potrzebuję. Wiesz, paniczu, ja kogoś skrzywdziłem mocno. Dlatego muszę mówić. Ale i tak wszystkiego nie powiem. Skrzywdziłem strasznie kobietę, może własną siostrę.

– Przecież jedziecie do siostry.

– A nie. Nie jadę do siostry. Jadę do Warszawy, do samej Warszawy. Może będę szukał sprawiedliwości. Ale strach jechać, strach oddalać się, no nie?

– Ja też pojadę w świat.

– Pan nie. Pan tu zostanie. Pan nigdy nigdzie nie pojedzie.

– Kto wam to powiedział?

– Ja sam mówię, bo ja wszystko wiem.

– A co mnie czeka w życiu?

Jegomość zaśmiał się chytrze, wycierając dłonią wiecznie mokry nos.

– Może i wiem, ale nie powiem. Lepiej nic nie wiedzieć.

Wstał z klęczek, potrząsnął gwałtownie tłumokiem, a potem przyłożył do niego ucho, jakby słuchał obudzonego głosu. Pociąg huczał w kratownicy starego mostu. W dole zajaśniała powolna rzeczka pełna nieba i białych chmur.

– Dałbym wam coś na drogę. Nic nie mam.

– I tak nie powiem. Panu na pewno nie powiem.

– Może coś złego?

– Po co pytać. Panicz młody, zdrowy, przed panem wszystko. Ja skłamałem, paniczu. Nie jadę do Warszawy. Jadę do Ameryki, do samej Ameryki.

– Do Ameryki? Za ocean? Jak wy tam dojedziecie?

On znowu zaśmiał się przebiegle, marszcząc twarz z ciemnymi cieniami, jakby podwędzoną w suchym dymie.

– Dojadę, paniczu, ja już tam raz byłem.

– A po co wracaliście?

– Wróciłem, żeby skrzywdzić. A teraz, przeklęty przez wszystkich, jadę z powrotem do Ameryki, do samej Ameryki.

– Muszę już iść. Zapomniałem czapki w przedziale.

– Taka cała wyszywana kolorowymi niemi? Nie zginie, nikt jej nie ruszy, w ogóle już pan jej nie zamieni na inną. A ja tu nie przyszedłem po błogosławieństwo. Po co mi błogosławieństwo. Mogę zawsze dostać i od takich, i od innych. Młodość zobaczyłem. Waszą młodość, paniczu. I tak jakoś zachciało mi się ją skraść. Ale niech pan się nie boi, nie zabiorę, nie ukradnę. Postraszyłem tylko trochę.

Odwrócił się do szyby i chichotał chowając twarz w tobołek cuchnący niewietrzoną nędzą. Później podsunął nagle Wiciowi przed nos to swoje zawiniątko.

– Chcesz, paniczu? Chcesz, to masz.

Wicio odsunął się ze wstrętem.

– Na co mi to, nie chcę.

– A nie jesteś ciekaw, co tam w środku? Może stare plany, może skarb z całego życia, a może tylko skrwawiona siekiera? Masz ode mnie gościniec. Na pamiątkę znajomości.

– Ja już niedługo wysiadam. Po co mi wasz skarb?

On znowu potrząsnął tobołkiem przy swoim uchu jak skarbonką.

– Będiesz zawsze żałował, że nie ryzykowałeś. No, namyśl się jeszcze chwilę. A może chcesz podzielić się z pierwszym spotkanym człowiekiem?

– Nie, dziękuję. Nigdy i nic nie trzeba brać od ludzi.

– Kto ci to powiedział?

Wicio zawahał się przez moment. Pociąg zataczał łuk po wysokim nasypie. Wielkie sześciokątne miodowe światła wpadły do wagonu i rozpląszczyły się teraz boleśnie na ścianach.

– Ojciec. Ojciec mi to powiedział. We śnie.

– Znaczący, nie żyje?

– Tak. Teraz podczas ferii świątecznych u ciotki przyśniłem go tak wyraźnie, że będę pamiętał, jakby to zdarzyło się w życiu. Szedł do mnie przez ogród, szedł cały w czerwonym słońcu, świecącym w plecy, szedł bez końca i tylko szedł, i nie mógł do mnie dojść.

Arcybiskup ujął w dwa palce zieloną wstążeczkę, otworzył brewiarz nią założony. Potem przeżegnał się wyraźnym, czystym ruchem dłoni.

– Pocałujmy się na rozstanie – zająknął się jegomość z tłumokiem.

– Dlaczego mamy się całować?

– Ty musisz iść i ja muszę odejść.

– Życzę szczęścia w podróży.

– I nie chcesz się pocałować z człowiekiem? Brzydzisz się mojej biedy, pogardzasz wędrowcem nikczemnym. No i nie odwrócisz swego losu. Amen.

Zasłonił się plecami, odchodząc wolno w stronę czarnego miechu łączącego wagony. Szedł środkiem korytarza lekko jak drapieżne zwierzę i nie musiał się chwycić ścian, gdy znowu zaczęło rzucać pociągiem na rozjazdach.

Wicio pewnie pomyślał wtedy, że to jakiś dziad, nawiedzony włóczęga jedzie z festu, czyli wielkiego odpustu, i wrócił do swego wagonu.

Pociąg przejeżdżał przez miasteczko, a właściwie nawet przez miasto rozsypane na stoku rozległego wzgórza, ściślej mówiąc, nie wzgórza, lecz płaskowyżu, który teraz przez kilometry opadać będzie dosyć stromo ku rzeczce, nawet można powiedzieć sporej rzece, co czasem się zwęża mocno, a potem znowu rozlewa się szeroko jak poważna rzeka z prawdziwych atlasów.

To było miasteczko rodzinne Wicia. Tu się kiedyś urodził przy tej długiej ulicy biegnącej wzdłuż torów, ale w którym domu, tego nikt już nie pamiętał, nawet matka nie mogła sobie przypomnieć. Więc wpatrywał się w te parterowe domki uciekające szybko do tyłu, domki ceglane, czasem niedbale tynkowane, ale najczęściej z drzewa, wszystkie z ganeczkami, na których w letnie wieczory słucha się słowików i wacha mocne zapachy maciejki, wszystkie w ogródkach, jakby sadach, teraz nagich zupełnie, z ledwo widocznymi zgrubieniami zawiązujących się pąków. I to miasteczko, a właściwie niewielkie miasto, nic w rzeczywistości dla Wicia nie znaczy i patrzy na nie obojętnie, bo ta ulica rzekomo rodzinna już się skończyła, bo to miasteczko jest bez wyrazu, nijakie, jakby bez serca stworzone, byle jak, może przypadkowo, do tego jeszcze zbudowane przez wojskowych, którzy mają tu ogromne garnizony, ściślej, przez wojskowych i kolejarzy tego małego, ale ogromnie ważnego węzła kolejowego. To miasteczko nie nadaje się zupełnie do pamięci, do tęsknoty, do przejmujących snów. I wiele lat musiałoby minąć, i wiele nieszczęść musiałby Wicio przeżyć, żeby takie właśnie miasteczko mogło się kiedyś boleśnie przypomnieć, odbudować w przejmującym pięknie i tym utraconym na zawsze pięknem ścisnąć z całej siły serce Wicia gdzieś w dalekiej bardzo podróży, w odległym odosobnieniu, w beznadziejnej niemocy.

Wczesnowiosenna brzydota zrudziałych pagórów, niechlujnych skarp i nędznych drzew jak chude, zmoknięte ptaki, więc całe to rozpaczliwe ubóstwo przedwiośnia zasłaniało kolejno domki, uliczki brukowane polnym kamieniem, pokraczność jakiejś fabryki, zakole rzeki z przystanią oficerską, wszystkie te miejsca, w których żyli od lat albo odwiedzali je przygodnie i inni ludzie, teraz jeszcze anonimowi, ale kiedyś mający zapisać w świadomości współczesnych swoją

znajomość z tym miastem, swoje miłości i rozpacze przeżyte w tym mieście, które tak naprawdę było tylko bezładną kupą domów, jakich tyle widzi się na świecie.

Pociąg zaczynał już zwalniać przed przystankiem, na którym miał wysiąść Wicio. Pokazała się kręta, piaszczysta droga, wycięły się z pustych drzew pierwsze eleganckie wille, w mglistej dali zakolysało się ściśnięte pagórami wielkie miasto Wilno, budząca grozę metropolia. Ale w tym momencie zajęczały hamulce, ogromne snopy iskier wystrzeliły spod kół pociągu i straszna siła pchnęła Wicia na metalową ramę okienną. Wagon zatrzeszczał w spojeniach, ktoś leciał przez korytarz, czepiając się mosiężnych klamek, coraz rozpaczliwiej gwizdała lokomotywa. Wreszcie pociąg stanął.

Wicia na odmianę rzuciło z powrotem. Chwycił się opuszczonego okna. Wysunął głowę na zewnątrz, gdzie duł podszyty mrozem dziki wiatr wiosenny. Pociąg trwał nieruchomo w miejscu, posapując dobroduszenie. Stał o dwieście metrów przed przystankiem, na wysokim nasypie spiętrzonym wzdłuż mizernej łączki, na której pasły się trzy łaciate kozy.

Wtedy pojawił się konduktor. Biegł od lokomotywy, przytrzymując na piersiach latarkę. Poobiednie słońce, przebijające między kołami pociągu, chwyciło go za nogi, za poły rozpiętego płaszcza. A on biegł tak i co chwila przysiadł, jakby kogoś podglądał po drugiej stronie toru. Wreszcie zatrzymał się, kucnął i coś zaczął wyszarpywać. Ale to coś nie chciało ustąpić. Więc jął machać latarką, dając znak maszyniście. Pociąg zakolebał się, zgrzytnął kołami, cofnął się parę metrów i zastygł w przeciągłym stęknięciu. Teraz konduktorowi na pomoc biegł maszynista w czarnym chałacie. Wleźli obaj pod wagon i zaczęli wyciągać jakiś spory ochłap w skotłowanej odzieży. Wicio zobaczył przeraźliwie białą rękę czepiającą się zaoliwionego szutru. W nagłym odruchu grozy cofnął się w głąb wagonu.

Później pociąg jakby zebrał się w sobie, szarpnął parę razy, chcąc oderwać koła od tego miejsca, i wolno ruszył w stronę przystanku. Bardzo długo jechał te dwieście metrów.

Wicio wziął walizkę i poszedł do drzwi wagonu. Otworzył je ostrożnie. Ale peron był pusty, nic się tu nie działo, nawet zawiadowca gdzieś się zawieruszył. Więc Wicio zstąpił na zwirowaty peron. Wiatr uderzył go niemocno w plecy, popychając do przejścia przez tory przed lokomotywą. Wicio szedł wzdłuż pociągu i ostrożnie zerkał na koła. Ale wszystkie były jednakowo zaoliwione tłustą, lśniąca rosą.

Dopiero kiedy przekroczył tory, zobaczył w drewnianej wiacie kilku ludzi otaczających coś spoczywającego na podłodze. I wydało mu się raptem, że ten widok już skądś pamięta, lecz przecież nie mógł pamiętać, bo nigdy przedtem nie widział śmierci człowieka.

Więc w strasznym popłochu, w jakimś gwałtownym, nieznanym sobie dygocie zaczął podchodzić do tych ludzi, którzy przyglądali się z ciężkim namysłem powykrzywianym kawałom człowieka leżącego na zapiaszczonych deskach podłogi. Zobaczył między kłębami przybrudzonej odzieży zapaść brzucha wypełnioną jakby mulistą wodą i rozpuszczającą się w niej skąpo świeżą krwią.

– Czy on skoczył pod pociąg? – spytał cicho konduktor.

Maszynista nałożył czapkę i zaraz zdjął ją z powrotem.

– Nie. Nie widziałem nikogo.

– Może wyleciał przez drzwi? – odezwał się jakiś żołnierz cuchnący sukniem i źle wyprawionymi skórami.

– Gdyby wyleciał, toby go odbiło – pokręcił głową maszynista. – Dwadzieścia lat jeżdżę, nawet wróbla nie przejechałem. Jezu, Jezu, Chryste Panie.

– To skąd on się tu wziął? Może ktoś z panów widział go w pociągu? – konduktor jeszcze raz wytarł dłonie o połę płaszcza.

Ale wszyscy milczeli. Wtedy znowu odezwał się żołnierz.

- Jak go poznać, kiedy twarz ma zakrytą.
- No to odsłoń pan – rzekł konduktor.
- Dlaczego ja?
- Pan najbardziej ciekawy.
- W ogóle nic mnie nie obchodzi. Muszę być w koszarach przed zmrokiem, tyle mnie obchodzi.
- A może to ten, co wybierał się do Ameryki? – powiedział nagle nieswoim głosem Wicio.

Wszyscy odwrócili się w jego stronę.

- Który? – spytał konduktor.
- Taki z tłumokiem. Razem ze mną przyglądał się biskupowi.
- Nie było przy nim żadnego tłumoka – powiedział konduktor.

Znowu milczeli chwilę nad tą przyzmą zmiętej odzieży i zmasakrowanego ciała.

- A może to Wołodko? – zapytał raptem dyżurny ruchu.

Znowu jakiś czas pomilczeli. Z tyłu za nimi przechodziły kozy wracające pewnie do domu. Szły rozstawiając szeroko tylne nogi rozparte ciężkimi wymionami.

- Może i Wołodko – rzekł wreszcie konduktor. – Może zadreńczyło go sumienie.
- Eee, Wołodko tak marnie by nie ginął – powiedział żołnierz.
- No jak by nie było, umarł człowiek – westchnął konduktor. – Dzwon, Włodek, do Wilna.

Zawiadowca ruszył biegiem w stronę swego kantorka. Przelazł przez pociąg między wagonami. Lokomotywa posapywała ostrożnie, jakby uciszając sama siebie.

Nasze święta wielkanocne były zupełnie niepodobne do dzisiejszych. Zaczynały się właściwie w Niedzielę Palmową, która sama dla siebie stanowiła już solidną uroczystość. Cały Wielki Tydzień – to święto w negatywie, wielka, solenna asceza przed rozpustą. Każdy dzień tego Wielkiego Tygodnia miał swój posępny rytuał, każdy też dzień przynosił coraz sroższe ograniczenia dietetyczne. W Wielki Piątek jedliśmy już tylko chleb razowy, popijając w najlepszym razie kwasem. Od czwartku przesiadywało się w kościele, uczestnicząc w ponurych, trochę jakby pogrzebowych nabożeństwach. Ziemia także szykowała się do wiosennej eksplozji. W rozpadlinach, rowach, wąwozach dogorywał scukrowany, czarny śnieg. Na suchsze pagóry leśne wypelzały agresywne tłumy przyłasczek i zawilców. Ziemia stękała po nocach, czasem gdzieś pękła, ukazując tłuste czerwonożółte wnętrza. Jakieś ostre wonie zmarzniętej zieleni i nowości ganiał po łąkach niecierpliwy wiatr. Zapachniało czasem paloną słomą, spieczoną sierścią i wszyscy wiedzieli, że ktoś zakłuł na święta wieprza, że dzieli teraz tusze, nabija kiszki mięsiwem oraz różnymi kaszami. Rychło przeleciał kot z uczepionym do ogona świńskim pęcherzem, w którym grzechotał groch. Dziewczyny malowały pisanki, chłopcy wypróbowywali je ostrożnie, szukając twardzielców przydatnych do różnych gier w dni świąteczne. Pod poduszkami rosły baby. W ogromnych garach dogotowywały się szynki, a tymczasem wszyscy na zmianę latali do kościoła, żeby być obecnym przy powolnej, z dnia na dzień, śmierci Chrystusa. Zalewano się łzami, widząc nieuchronność tej śmierci, kładziono się krzyżem, żeby odwrócić zły los Jezusa, żegnano się z nim czule na zawsze, choć już w Wielką Sobotę miał zmartwychwstać przed północą i wrócić do swoich znowu na cały rok. I w tę Wielką Sobotę święcono święcone. A potem wszyscy z pięknie przystrojonymi koszyzkami pełnymi jajek, kielbas i bab lecieli na złamanie karku do domu. Lecieli na skróty, gubiąc czapki, rwąc spodnie na ogrodzeniach, łamiąc ręce i nogi, byle tylko pierwszemu dopaść własnych drzwi, co było dobrą wróżbą. Patrzyli na

to z lekką drwiną starozakonni, którzy dopiero z wolna przygotowywali się do swojego święta Pesach. Patrzyli na to z pewnym zniecierpliwieniem starowierzy i prawosławni, którzy musieli czekać jeszcze dwa tygodnie, zanim poczną się obejmować, całując w usta spotkanych sąsiadów z dobrą nowiną, że „Chrestos wskres”. A tymczasem wygłodniali katolicy siadali już do stołu przybranego mirtem i widłakiem, stołu trzaskającego złowrogo pod ciężarem szyniek gotowanych i suszonych, kielbas wędzonych i pieczonych, grzybków marynowanych i kwaszonych, kisielów żurawinowych i owsianych, jajek i borówek, rumianych prosiąt i podwędzonych gęsi, butli z nalewkami i z samogonem z odrobiną fuzlu, babek lukrowanych i ogromnych bułek, mazurków i strucli, dzbanów domowego piwa i kompotów. Taki stół stał przez pierwsze dwa dni świąteczne, stał przez następne, dogorywał aż do Niedzieli Przewodniej, bo Wielkanoc nie miała u nas wyraźnego końca, rozmydlała się powoli i bez szczególnych reguł, u jednych kończyła się w środę, u innych w sobotę. A podkreślałam to dlatego, że Boże Narodzenie, to magiczne święto wspólnoty rodzinnej i ludzkiej, trwało u nas do samych Trzech Króli. Zasypani śniegiem po dachy, zaskorupiali grubym lodem świętowaliśmy dwa tygodnie w zapachu świec, jabłek i usychającej jedliny, w radosnym niepokoju oczekiwania na nowy, nieznany, pełen obietnic nadchodzący rok.

Matka rozpakowywała walizkę w sypialni. Z małej bokówki, która kiedyś była werandą, dobiegało tu wysilone chrypienie dziadka. Jaskrawa luna zachodzącego słońca drżała leciutko w ogromnym stojącym lustrze, którego drzewo zjadały zimą korniki.

– Widziałeś kraty w oknie na poczcie? – spytała matka.

– Nie. A co?

– Wołodko dobierał się przedwczorajszej nocy. Powygiął jak chrust, ale ktoś go spłoszył.

– Człowieka pociąg przejechał na przystanku. Kolejarze mówią, że to Wołodko. Matka przeżegnała się szybko.

– Na naszym przystanku?

– Tak. Pociąg, którym przyjechałem.

– I on tam teraz leży?

– Leży. Czekają na policję.

Otworzyła szafę i zaczęła coś przekładać, szeleszcząc zeschniętym zielskiem przeciwko molom.

– Wicio.

– Słucham.

– Podejdź do mnie.

– Co znowu mama wymyśliła?

– No chodź, chodź, dziecko.

Uśmiechała się tajemniczo, chowając ręce za sobą. Wicio zbliżył się niechętnie. Przyglądała się jego włosom, twarzy, szerokim ramionom.

– Urodziwy jesteś.

– Co mama, jak mamie nie wstyd?

– Najurodziwszy jesteś. Drugiego takiego nie znajdziesz.

– Jak Boga kocham, bo pójdę sobie.

Luna nieobecnego już słońca zróżowiła jej siwą głowę. Za ścianą, pod okapem dachu, piszczały rozpaczliwie jaskółki, walcząc z wróblami o swoje gniazda. Matka powoli wyciągnęła ręce i Wicio zobaczył przed sobą popielatosrebrzystą czapkę studencką zwaną „batorówką”. Była to długa rura, którą składało się misternie w

fałdy, a kwadratowe denko z herbem Batorych spadało kokieteryjnie na kark. Matka uniosła ją wysoko w obu dłoniach i dostojnie osadziła na głowie syna jak tiarę.

– To prezent świąteczny, synku.

– Mamo, a jak nie zdam matury?

Zaśmiała się cichutko, zakrywając dłonią usta.

– Ty nie zdasz? To kto ma zdać?

– Wszystko się może zdarzyć.

– Zawsze byłeś najlepszy i zawsze musisz być najlepszy.

– Jak można, mamo, mówić takie głupstwa?

Wzięła w suche, szorstkie dłonie jego głowę, na której sterczała nieuformowana jeszcze czapka. Przybliżyła spierzchnięte, wybladłe wargi i pocałowała go w usta.

– Będiesz wielkim doktorem. Najsłynniejszym na świecie profesorem.

Będziesz leczył nas wszystkich, będziesz ratował bogatych i biednych, będziesz uzdrawiał królów i żebraków.

Wyrwał głowę z jej rąk. Gdzieś odezwał się patefon skrzekliwym głosem. Lustro gasło powoli, wypełniając się niebieskim mrokiem.

– Mama chce zapeszyć. Zobaczysz mama, że zapeszy.

– Zapeszają siebie ludzie słabi. A ty jesteś silny. Silny jak twój ojciec.

– Dlaczego mama wspomina ojca? Gdzież była ta jego moc?

Matka uczyniła krok w stronę Wicia.

– On był bardzo silny. Zginął przez swoją siłę – powiedziała szeptem.

– Ale ja przez niego do końca życia będę przeklęty.

– Nie, synku, nie. Ty go pomścisz.

Wtedy zabrzęczały rzęsiście sprężyny łóżka w sąsiednim pokoju, w tej bokówce, która kiedyś była werandą. Dziadek kaszlał chwilę strasznym kaszlem, jakby wypluwał i nie mógł do końca wypluć swoich płuc.

– Chodźcie tu, na miłość boską, chodźcie – zacharczał.

Stanęli w progu tej izby pełnej zaduchu spoconego ciała i obfitej flegmy. W małych szybkach okien werandowych szamotały się z wiatrem zeschnięte ubiegłej jesieni badyły winorośli. Wielki zegar z mosiężnymi girami jak łuski pocisków armatnich tykał głucho nad wezgłowieм łóżka.

– Nikt mi nic nie mówi, ja jeden nigdy nic nie wiem – poskarżył się starzec. Zielonkawobiała szczecina podchodziła aż pod czarne nienaturalnie wielkie oczy, w których już od roku mieszkała śmierć.

– To ja, dziadziu. Wróciłem od ciotki – powiedział Wicio.

– Udały się święta? – zarząził starzec.

– Bardzo się udały. Tylko powódz trochę przeszkodziła. Wilia wylała.

– Aha, Wilia wylała. A fest udał się?

– Odpust też się udał. Dużo ludzi zjechało w Niedzielę Przewodnią. Z najdalszych majątków, ze wszystkich zaścianków. Ciotka miała kolosalne obroty.

– Wszyscy mają obroty, tylko ja nie – zachrypiał wyschłym gardłem starzec. – Jadziu, jak myślisz, dziecko, długo jeszcze będzie tego konania?

– Myślę, że niedługo, tatusiu. Pan Bóg litościwy.

– Daj Boże, daj Boże. A co ty masz, dziecko, na głowie?

– To czapka studencka, tatusiu.

– Wicio, znaczy, już na uniwersytecie? A ja nic nie wiem, nikt mnie nie informuje.

– Jeszcze nie, tatusiu. Za miesiąc zda maturę i jesienią pójdzie na medycynę.

– Jesienią, mówisz? No to już nie dożyję. Chwała Bogu, nie dożyję jesieni. Och, jak mi ciężko, dzieci, och, jak strasznie umierać bez końca. Twój Michał miał dobrze, sam sobie przygotował lekką śmierć, taką lekką, leciutką, jak przebudzenie nad ranem

– dyszał ciężko, dyszał całym wyniszczonym organizmem. W jego gardle grały jakieś dziwne, różnorodne i donośne dźwięki, których on słuchał z troskliwą lubością.

– Niech tatuś tak nie mówi o Michale. Niech się pomodli za niego. On tam czeka już na tatusia – matka przeżegnała się dyskretnie.

– Ach, ty już czekasz, żebym szybciej zamknął oczy. Wszyscy doczekać się nie mogą.

– Skąd? Niech tatuś żyje, ile tylko sobie zechce.

– Och, nie chcę już żyć. Przestańcie mnie dręczyć. Wszyscy do mnie przychodzą. I twoja matka, i bracia, szwagrowie, jacyś ludzie, których kiedyś spotkałem, nawet małe dzieci. Przychodzą w nocy, nad ranem, czasem i w dzień. Wiem, że przychodzą, widzę ich, jak idą do mnie przez wasz pokój, ale potem nic już nie pamiętam i później znowu zaczynają przychodzić.

– Niech tatuś zaśnie, odpocznie sobie trochę.

– Ach, żeby to już było ostatnie zaśnięcie.

I oddychał przeraźliwie długimi oddechami, starał się pochłonąć całe to duszne powietrze przesycone chorobą i nieszczęściem.

Ktoś zapukał w futrynę drzwi, potem uderzył niecierpliwie pięścią. To był pan Kieżun, naczelnik poczty. Widać śpieszył się bardzo, bo na bose nogi wzuł zabłocone kalosze.

– Widziałem, że Wicio wrócił – rzekł śpiesznie. – Widziałem, jak szedł ze stacji.

– Tak, wrócił, wrócił niedawno.

Wicio dopiero teraz przypomniał sobie, że stoi ciągle jeszcze w tej idiotycznej czapie, która wygląda jak przepalona rura od piecyka. Zdjął więc ją ukradkiem i schował za sobą.

– Mam prośbę, chłopcze. Skocz z telegramem do pułkownika Nałęczu, ja mam nieszczęście z dziećmi, na moment nie mogę wyrwać się z domu.

Wicio milczał niepewnie.

– Wiesz, chłopcze, ci nowi, co mieszkają na działkach wojskowych. Trafisz przecież.

– On zmęczony, panie Kieżun, prosto z podróży.

– Jaki zmęczony, droga sąsiadko, krew i mleko. Całe miasto pani zazdrości. To zwierz, prawdziwy zwierz, a nie maturzysta. Weź, chłopcze, mój rower. Zostawiłem na ulicy, a tu masz telegram i kwitariusz, ale niech wpiszą dokładną godzinę doręczenia. Żeby cię diabli! – zaklął raptem siarczyście. – Zapomniałem żelazko wyłączyć. Spalę chałupę i dzieci! No to dziękuję!

I już wyleciał, przewracając coś w sieni.

– Zanieś, Wicio – powiedziała matka. – Może to dobra nowina. Może przyniesiesz ludziom szczęście.

Wicio nałożył stary sweter i wyszarzałe spodnie. Na ulicy czekał rower, zardzewiała damka o niedopompowanych oponach. Po przeciwnej stronie ulicy w parterowym domku sióstr Puciatówien śpiewał beznadziejnie patefon. W oknach widać było światło wcześniej zapalonych lamp i jakieś cienie poruszające się w takt muzyki. Wicio wsiadł na rower, przechylając się ciężko z boku na bok [??] [przecinek uniejednoznaczni zdanie] zaczął pedałowac po chodniku stromą ulicą pod górę, gdzie drzemały wśród drzew mocno rozkraczone na zboczu samotne wille, gdzie rozpoczynał się gęsty i bogaty w dziwne drzewa las, las oddzielający przedmieście dolne od górnego.

Zapalały się kolejno rzadkie latarnie uliczne na starych, splekanych słupach drewnianych. Od lasu szło przejmujące szumienie pełne różnych dziwnych odgłosów. Pod samą górą droga zwinęła się w prawo, aby przejść w serpentynę ciasno opasującą zbocze. Więc Wicio zszedł z roweru i, ciężko dysząc, wspinał się po drewnianych

schodach na szczyt wzniesienia, gdzie stał kościół i gdzie zaczynały się domy przedmieścia górnego.

Dom Nałęczów, właściwie nowoczesna willa zbudowana na miejscu poprzedniej, która się spaliła kilka lat temu, a więc ten nowy dom Nałęczów stał na zboczu parowu i wielki ogród spadał wąskimi tarasami na dno jaru, kędy dawniej płynął pewnie jakiś strumień, co wysechł i nikt już o nim nie pamiętał.

Wicio zeskoczył z roweru przed żelazną furtą. Pociągnął za drewnianą rączkę. Gdzieś koło domu zajęczał rozdzierająco dzwonek. Rozświeciło się jedno okno, potem drugie, szczęknęły drzwi. Ktoś biegł do furty w tym rzadkim mroku wczesnej wiosny.

– Pan do nas? – spytała pokojówka, zasłaniając gardło od chłodu.

– Z poczty, telegram.

Otworzyła kluczem furtę. Poprowadziła go do domu. Jakiś ciemny kształt wyskoczył zza krzaków i Wicio poczuł na łydkach przez spodnie ciepło zwierzęcego oddechu.

– Proszę się nie bać. On przy mnie nie ugryzie – rzekła pokojówka.

Pies biegł za Wiciem, trącając go potężnym pyskiem. Tak weszli do hallu i pies siadł czujnie w progu za plecami Wicia.

– Co się stało, Zosiu? – odezwał się czyjś wysoki głos.

– Z poczty. Człowiek przyniósł telegram.

Na schodach pojawiła się dziewczyna, zbiegła szybko, zeskakując po dwa stopnie naraz.

– Gdzie ten telegram?

Wicio podał w milczeniu zaklejony arkusik. Rozerwała go i szybko ogarnęła wzrokiem jego treść.

– Maman, papa arrive.

Wicio czuł, że nie wiadomo dlaczego serce bije mu śpiesznie, bije bardzo mocno. A ona rzuciła się do drzwi sąsiedniego pokoju i tam zderzyła się z matką.

– Tatko jutro wraca. Widzisz, widzisz, miałam przeczucie, że będzie dobra wiadomość. Śnił mi się pociąg całą noc, taki pociąg, który jechał wprost po ziemi, nie po szynach.

– Podpisz panu kwit – odezwała się matka.

Dziewczyna podbiegła do Wicia i, znowu nie spojrzawszy nań ani razu, wzięła papierek.

– Proszę wypisać dokładną godzinę – rzekł Wicio zdławionym głosem.

Wróciła do matki, szukały chwilę ołówka w sąsiednim pokoju.

– Il faut donner quelque chose a cet homme pour sa fatigue – powiedziała matka.

– Oui, donnę lui cinquanta grosches. Qu'il ait une bonne soirée.

Zadzwęczał bilon, szurnęło krzesło.

– Nic mi nie mówisz, że ojciec pisze przyjeżdżamy, a nie przyjeżdżam.

– Nie zauważyłam. Och, Boże, jak się cieszę. Nous pouvons lui donner un złoty.

– Tu aimes dorloter les gens.

– Maman, le soir est si froid et lui, le pauvre diable, il n'a qu'un pull sur le dos.

– Cinquante, ça suffit.

Przybiegła z kwitkiem, w którym schowana była moneta. Nie patrząc na Wicia, podała mu napiwek, mówiąc machinalnie po francusku:

– Merci. C'est tout?

Wicio z trudem przełknął ślinę, potem rzekł nieswoim głosem:

– Oui. C'est tout. Et moi je vous remercie, mesdames, et je vous souhaite une bonne nuit.

Ona już biegła w stronę tego pokoju, gdzie była matka, i nagle, słysząc jego odpowiedź, zatrzymała się w pół kroku. Powoli odwróciła głowę, pierwszy raz spojrzała w stronę Wicia.

– Merci pour le pourboire. J'essayerai d'en faire une grande fortune – rzekł śmiejąc Wicio i uklonił się niezręcznie.

– Je m'excuse – powiedziała ona cicho.

Odprowadziła go do furtki pokojówka. Pies szedł znowu za nim, ale teraz schwycił go zębami za nogawkę i nie wiadomo było, czy to oznaka wrogości, czy przyjaźni.

– A jak panienka ma na imię? – spytał Wicio.

– Kto, ja?

– Nie, wasza panienka, od której dostałem pięćdziesiąt groszy.

– Po co panu wiedzieć?

– Nie gniewaj się, przecież to nie tajemnica.

– No pewnie.

– Więc jak?

– Alina.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI